

## Wojciech Stanisławski: Senniki wschodnie

Czy pisarze znad Dźwiny i Dniepru, znużeni dramatem i bezradnością swoich krajów, będą opisywać świat przez zielonkawą, zakrzywioną szybkę snu?

Już poprzednia wydana w Polsce w roku 2020 powieść Wołodymyra Rafiejenki „Najdłuższe czasy” była wyzwaniem dla entuzjastów prostej narracji i przejrzystych powieści wojenno-politycznych. Czytelnicy łotrzykowskiej „Córeczki” Tamary Dudy czy przejmującego, mrocznego „Internatu” Serhija Żadana mogli sądzić, że potrafią sobie wyobrazić szokujący świat najechanych i okupowanych przez Rosję wschodnich ziem Ukrainy. Bezpieczna Europa po raz pierwszy posmakowała szokującej hybrydy współczesnej popkultury i technologii oraz przemocy „jak z filmów wojennych” przy okazji walk w byłej Jugosławii, których uczestnicy strzelali do siebie słuchając konkursów Eurowizji i rozmawiając przez telefony komórkowe. Na Ukrainie to połączenie światów wojny, reklamy i komercji jest jeszcze bardziej uderzające. Nic jednak nie przygotowało osób sięgających po „Najdłuższe czasy” na wprowadzenie na ulice Doniecka klimatów jak z powieści Pieliewina: stworzeń ze świata *fantasy*, wirów i pułapek przestrzennych jak z dobrej fantastyki naukowej, wprowadzonych do powieści z postmodernistyczną dezynwolturą, utrwalających poczucie nierealności i nieprzewidywalności świata.

Rafiejenko nabrał od tego czasu rozmachu, ale też doświadczył dramatycznej przemiany, która zdarza się niewielu pisarzom, a jeszcze mniejszej ich liczbie się udaje: urodzony w Doniecku, przez 45 lat mówił i pisał po rosyjsku. Mówić po ukraińsku zaczął się uczyć systematycznie po przeprowadzce do Kijowa w 2014: w pięć lat później powstał „Mondegreen”, jego pierwsza (są już trzy kolejne) napisana w tym języku książka.

„Mondegreen”, choć, zgodnie z podtytułem, traktuje o śmierci i miłości, jest przede wszystkim zapisem przemiany językowej, a dokładniej – urzeczenia odkrytą w dorosłym wieku ukraińską literaturą, ale i leksyką, i kulturą ludową, żargonami i obyczajowością. Bohater i po trosze narrator tej powieści, Gaba Gabiński, jest filologiem i *logofagiem*. Jest w Kijowie imigrantem i przybyszem, człowiekiem wysadzonym z siodła i szukającym stabilizacji – ale przede wszystkim jest erudytą maniakalnym, udreńczonym przez wielość skojarzeń, kryptocytatów i aluzji literackich, które uruchamiają się w nim za sprawą błahych wydarzeń codziennych. To zblazowany żongler nazwiskami Deleuze’a i Barthesa, uwodziciel i wygnaniec. Traktująca o nim powieść nie może być „fabularna” w pospolitym rozumieniu: to migotliwa mozaika przemyśleń, skojarzeń, przywidzeń, rozmów i snów bohatera.

Niełatwo w jakikolwiek sposób zapanować nad tą materią: Gabiński, z umysłem rozpalonym do czerwoności, rozważa doniecką przeszłość i kijowską teraźniejszość, doświadczając ich w wymiarze fantazji i przypowieści, dodatkowo komentując je i dodając uwagi w dygresyjnych, zapisywanych kursywą nawiasach. W tym stanie umiarkowanej poczytalności romansuje, zarabia na życie, zмага się z

uprzedzeniami wobec przybyszów („Przesiedlonec z Donbasu to potencjalny separatysta, kolaborant, kacap, imbecyl, złodziejaszek, kieszonkowiec, zakapior, doliniarz, kotonienawistnik, a może, o zgrozo, łapikot i palikot. Jeśli jakimś cudem nie ma krewnych w Moskwie, z pewnością cierpi na chorobę alkoholową, liszaje, słabość do dramatów Czechowa”) i wspomina (czy raczej: wspominają mu się) tragedię rodzinną z lat rewolucji i rozkułaczania Ukrainy: rozstrzelanie przez bolszewików pradziadków na oczach dzieci.

Brzmi to jak wyjątkowo niestrawna recepta na ambitną prozę współczesną – ale o dziwo, melancholijny i cwaniacki Gaba najpierw zajmuje nas, a potem urzeka i wędrujemy za nim po Kijowie podziwiając żywotność, nie przejmując się, że nie rozpoznamy i trzeciej części aluzji i skojarzeń, że nie nadążamy za zwrotami narracji. Cieszy po prostu pęd, jakby nie powieść to była, a *rafting* na Czeremoszu.

Ten *rafting* nie byłby możliwy, gdyby nie świetny przekład Marcina Gaczkowskiego, od lat współpracującego z Kolegium Europy Wschodniej, dla którego przetłumaczył już poprzednią powieść Rafiejenki i „Córeczkę” Dudy, Pidmohilnego i Stusa. Przy pracy nad „Mondgreenem” osiągnął mistrzostwo, panując nad budowanymi na logice snu skojarzeniami Gabińskiego i jego okazjonalną logoreą, jego przerzucaniem się między dwoma językami i tradycjami literackimi, ukraińską i rosyjską, oraz niedbałym przytaczaniem starożytnych ezoteryków.

I druga książka eksplorująca sny, osuwająca się w sny, tak bardzo różna: w miejsca spływu Czeremoszem – zanurzanie się w pachnące ajerem wody białoruskich jezior. Urodzony i mieszkający w *naddźwińskim*

Połocku Uładzimir Arłou napisał rzecz niezwykłą, która nie miała prawa się udać: trzy szkatułkowo powiązane opowiadania, podnoszące do kolejnych potęg tajemnicę snu, złudzenia i fantazji. To wariacja na motywach zawsze wybijającej ziemię spod nóg sentencji chińskiego mędrca („nie wiem, czy jestem Czuang-Tsy, który śnił, że jest motylem, czy...”) rozbudowana z ogromną, choć dyskretną precyzją, jakby ktoś w kolejnych przekształceniach rozwijał w kolejnych iteracjach fraktal, podczas gdy chłopiec z pierwszego z trzech opowiadań staje się pisarzem i ojcem.

Arłou ma przy tym rzadki dar: pisze o ciepłe i urodzie rzeczy – miłości w klasie maturalnej, zielonych, wonnych szpadach tataraku, daktylowym smaku pocałunków – w ten sposób, że nie brzmi to ckliwie ani szczebiotliwie, że ocala urodę rzeczy. „Tańce nad miastem”, rozpoczynające się w sowieckich czasach, nie traktują wprost o polityce, dzieciństwo w epoce Breżniewa opisane jest wręcz z czułością, co nie przeszkadza pisarzowi wspomnieć o niszczących posągach św. Piotra i Pawła, umieszczonych na fasadzie katedry (zapewne chodzi o miński kościół św. Mikołaja), i o „wyciętych z polskich czasopism portretach Lenona i Jaggera”, ozdobie chłopięcego pokoju. I z jednakową dyskrecją, w tle, wtrąca scenki ukazujące chwilowy rozkwit i długie stygnięcie niepodległej Białorusi – aż po postaci snajperów, strzelających do demonstracji, zawiązanej po kolejnych sfałszowanych wyborach i obstawione przez bezpiekę pogrzeby ich ofiar.

Prawdopodobnie to przypadek, że dwie różniące się profilem i wielkością oficyny wydały niemal równocześnie dwie opowieści, ukraińską i białoruską, w których kluczową rolę odgrywają sny i majaczenia bohaterów. W oczach czytelnika, który sięgnie jednocześnie po Rafiejenkę i Arłoua w czasie, kiedy wydaje się przesądzać los Europy

Wschodniej, może się jednak pojawić myśl o *oniriadzie* jako o stosownym gatunku literackim na nowe czasy. O pisarzach znad Dżwiny i Dniepru którzy, znużeni dramatem i bezradnością swoich krajów, opisują współczesny im świat przez zielonkawą, zakrzywioną szybkę snu.

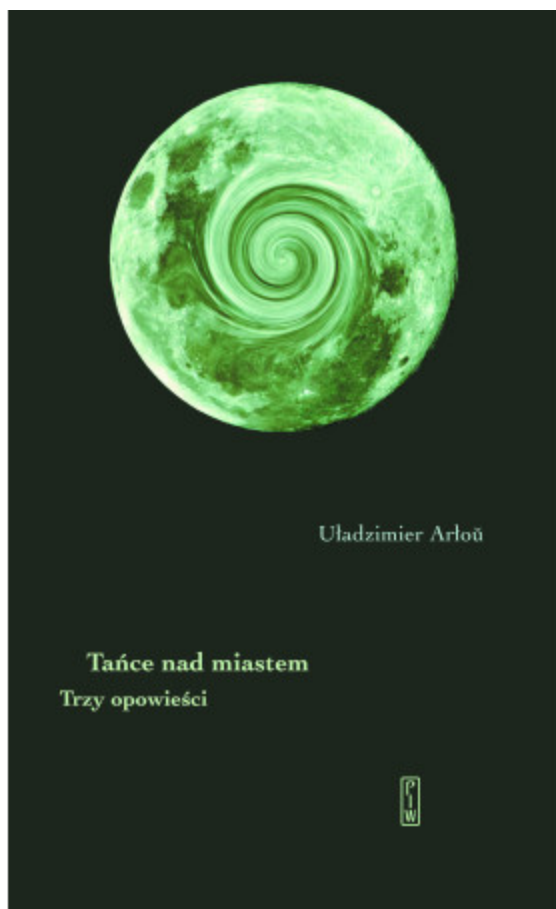
Obym się mylił.

*Wojciech Stanisławski*

**Wołodymyr Rafiejenko, „Mondgreen. Pieśni o miłości i śmierci”,  
tłum. Marcin Gaczkowski, Kolegium Europy Wschodniej,  
Wrocław-Wojnowice, 2024**



**Uładzimier Arłou, „Tańce nad miastem. Trzy opowieści”, tłum.  
Bohdan Zadura, PIW, 2025**



\*\*\*

Recenzje Wojciecha Stanisławskiego w ramach cyklu „Czytelnia publiczna” ukazują się co dwa tygodnie.

► Przeczytaj wcześniejsze

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa  
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego

---